



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Marian Trachimowicz

Chciałem być żołnierzem

W okresie okupacji hitlerowskiej przebywałem wraz z rodziną w Grodnie. Tak jak prawie każdy z moich młodych rówieśników w miarę możliwości i sił starałem się walczyć z okrutnym, zniechęconym okupantem. A powodów do nienawiści było wiele. Mieniające się krwawą czerwienią „bekanntmachungi” na ścianach budynków, wieszczące o kolejnych egzekucjach niewinnych zakładników i „polskich bandytów”, publiczne wieszanie polskich patriotów (m.in. byłem naocznym świadkiem egzekucji 8 moich rówieśników – powieszonych w bramach domów na tzw. „Słobotce”), katownia Gestapo na ul. Horodniczańskiej (wyróżniający się gestapowcy to Viese i Striblow), więzienia na ulicach Listowskiego i Dominikańskiej, wywożenie młodzieży na przymusowe roboty do Reichu, likwidacja wszystkich polskich instytucji kulturalno-oświatowych, okrucieństwa hitlerowskich siepaczy w dwóch żydowskich gettach, w obozach jeńców radzieckich – to tylko niektóre z przejawów działalności „kultragerów”.

Z młodszym bratem Ryszardem wykryliśmy powód tajemniczych narad naszej mamy z sąsiadką panią Szyszkiewiczową oraz ich wieczornych wizyt na stryszku. Otóż na dachu trzypiętrowej kamienicy, w której mieszkaliśmy (ul. Brygidzka 12, przemianowana na Hermannstraße w śródmieściu Grodna) była urządzona przemyślna, stosunkowo obszerna skrytka. Obok okienka stryszku znajdowała się kłapa (od zewnątrz niczym się nie wyróżniała od płatów blachy, którymi był pokryty dach), po podniesieniu której wchodziło się do pomieszczenia długości około 2,5 m, szerokości 1,5 metrów. Sufit był skośny, można było tu jednak swobodnie siedzieć lub leżeć. W tej właśnie skrytce, zbudowanej prawdopodobnie w 1905 roku lub nawet jeszcze w okresie powstania styczniowego, mama z sąsiadką przechowywały zbiegłego ze stalagu jeńca – żołnierza polskiego, rannego w czasie ucieczki z obozu. Wspominałem o tej skrytce, ponieważ stała się ona później kryjówką wielu poszukiwanych przez hitlerowców ludzi, między innymi partyzanta Bartoszewskiego oraz jeńca – żołnierza radzieckiego Fiedi. Natomiast mama stanowczo się sprzeciwiała, gdy chcieliśmy tam ulokować gromadzoną z różnych źródeł amunicję. Podstawowym zaopatrzeniowcem w tej dziedzinie był mój brat Ryszard, który bezpośrednio po działaniach wojennych na naszym terenie penetrował ze Zbyszkciem Szyszkiewiczem rozbite składy amunicji i przynosił w worku pociski karabinowe, podłużne pasma sprasowanego prochu, laseczki trotylu, a nawet małe bombki moździerzowe (na szczęście bez zapalników). Wszystko to lokowaliśmy na stryszku (ale nie w kryjówce). I niemało miałem kłopotu, żeby cały ten arsenał zlikwidować, gdy na naszej ulicy żandarmi niemieccy przeprowadzali rewizje w poszukiwaniu broni i amunicji. Kilka razy z nabojami ukrytymi pod bluzą biegłem z trzeciego piętra na podwórko i tam wrzucałem do otworów ubikacji (była to obszerna, wielostanowiskowa ubikacja,

wspólna dla mieszkańców dwóch trzypiętrowych domów czynszowych). Ostatni kurs skończyłem prawie w chwili, gdy żandarmi wkraczali do naszego domu.

Najbardziej przeżyła tę całą akcję moja mama (tylko z nią byliśmy wówczas w mieszkaniu), natomiast Ryszard nie mógł przeboleć utraty amunicji (planował wysadzenie w powietrze gmachu gestapo). Ryszarda zresztą musieliśmy hamować przed nieprzemyślanymi wystąpieniami, które dla innych często kończyły się tragicznie. Tak właśnie zginął Antek B., który widząc żandarma znęcającego się nad staruszką – Żydem, uderzył Niemca pięścią w twarz. Nie zdążył uciec i został zastrzelony na ul. Dominikańskiej. Sam zresztą muszę się przyznać do nie zawsze przemyślanej akcji, takich jak np. wspólne z Tolkiem Duszczenko, Antkiem Baranem, Tadkiem Zawistowskim i „Gutkiem” rozpędzanie kolejki stojącej w oczekiwaniu na seans filmowy przed niemieckim kinem na ul. Pocztowej, wrzucenie cuchnącej „bomby” w czasie seansu w tym kinie itp.

Chcąc uniknąć wywozu na roboty do Niemiec podałem w Arbeitsamcie zawód „schumacher”. Otrzymałem „arbeitsaussweis” i skierowanie do przymusowej pracy w charakterze szewca do warsztatów, mieszczących się w tzw. „Beutelager B”, będących jednym z oddziałów Heeresbekleidungsamtu – Königsberg. Były to magazyny pod zarządem wojskowym, w których gromadzono i sortowano zdobytą lub zrabowaną odzież, bieliznę czy obuwie, a następnie wysyłano transportem kolejowym do Reichu i krajów okupowanych.

Mimo pomocy ze strony prawdziwych szewców Niemcy zdołali po pewnym czasie rozszyfrować, że o naprawie, a szczególnie wyrabianiu obuwia mam bardzo słabe pojęcie. Za karę wraz z jednym z braci Łagucików skierowany zostałem do oczyszczania dołów kloacznych, a później jako tragarz do magazynów. Wyładowywałem i załadowywałem wagony i samochody ciężarowe, a w chwilach wolnych od prac załadowczo-transportowych pomagałem przy budowie nowych pomieszczeń lub sortowałem odzież i buty. Była to ciężka robota, przeważnie dwunasto-czternastogodzinna, stale pod nadzorem, przy akompaniamencie wyzwisk i razów kijem lub pejcem. Mimo tych trudnych warunków Polacy tam zatrudnieni przeprowadzali częste sabotaże (niszczenie mienia niemieckiego, kradzieże, podpalanie itp.), a także pomagali przetrwać pracującym tu w pierwszych latach okupacji Żydom (szczególnie dotyczyło to zaopatrzenia w żywność, której w getcie brakowało). W mojej grupie sabotażowej byli dwaj bracia Łagucik, Adasiuk, Szymek, Jurek Mizgier, Edek Gromko, Czesio Rot. Przyjaźniłem się również z byłym radzieckim lejtanantem Igorenko i jego kolegą Wanią. Przedstawicielami partyzantki na terenie „Beutelager B” byli zatrudnieni w warsztatach szweskich bracia Zaniewscy, dzięki którym wiele odzieży, a szczególnie angielskich bluz „battaldressów” znalazło się w posiadaniu partyzantki wileńsko-podlaskiej.

A w domu wraz z siostrą Ireną organizowaliśmy naukę dla najmłodszego brata Janka i jego trzech kolegów – Jasia Żywolewskiego i dwóch braci Wołodków (siostra miała ukończone trzy klasy gimnazjum, a ja prawie dwie), którzy raz w tygodniu na „prawdziwą naukę” chodzili do nauczycielki panny Hryniewiczówny.

Wspólnie ze Zbyszkciem Szyszkiewiczem, Jurkiem Mizgierem, Antkiem Baranem, Tolkiem Duszczenko i bratem Ryśkiem zorganizowaliśmy tajną bibliotekę. Mieściła się ona w naszym mieszkaniu, a ja byłem jej największym „udziałowcem” i „kierownikiem”. Mieliśmy około tysiąca tomów. Kapitałem założycielskim było kilkanaście książek stanowiących moją własność. Następne egzemplarze zdobywaliśmy w różny sposób – skupowaliśmy od znajomych, wykradaliśmy z piwnic i biur Niemiec, gdzie przeznaczano polskie wydawnictwa na spalenie (m.in. kilkadziesiąt książek zdobyliśmy w biurach Arbeitsamtu oraz w niemieckiej szkole przy ul. Witoldowej – Danzigerstraße). Mieliśmy nawet swoją pieczęć, sporządzoną przez Zbyszka Szyszkiewicza. Prowadziłem imienne karty czytelnicze i kartotekę książek. Ruch w bibliotece był ożywiony, a mimo to nie było żadnej wpadki. Z zawieruchy wojennej z mojej grodzieńskiej księżnicy ocalały tylko dwa tomiki (opatrzone prymitywnymi stempelkami): „Ogniwa” Elizy Orzeszkowej i zbiorek poezji Ignacego Nikorowicza.

Parę dni po oswobodzeniu Grodna przez Armię Czerwoną na nasze podwórko, na którym składaliśmy z Ryszardem odebraną uciekającym Niemcom broń (mieliśmy ją przekazać wojskowej komendanturze radzieckiej), wbiegł Tadek Zawistowski wołając: „Chłopaki, polskie wojsko przyjechało, samochód z żołnierzami stoi na Listowskiego!”

O naszym wojsku słyszeliśmy już dzień wcześniej od żołnierzy radzieckich. Na placu Wolności przemawiał polski major, ale nie wiedzieliśmy jak do tego długo oczekiwanego wojska wstąpić. Przy samochodzie na ul. Listowskiego zebrała się spora gromada ludzi. Ze łzami w oczach patrzyliśmy na metalowe orły zdobiące furazerki, na karabiny w rękach naszych drogich żołnierzy. W szoferce obok kierowcy siedział młody, dziarski podporucznik. Samochód załadowany był siennikami, kocami, pałatkami.

Wśród żołnierzy z radością rozpoznałem trzech kolegów: Witka Niemcewicza, Mundka Kleczkowskiego, Janka Majewskiego.

– Chcę z wami do polskiego wojska – oświadczyłem.

Podporucznik początkowo nie chciał się na to zgodzić twierdząc, że w rozkazie wyjazdu ma wpisana liczbę członków załogi i w związku z tym mogą być trudności przy przekraczaniu granicy (przebiegała kilkanaście kilometrów za Grodnem). W końcu jednak na moje i moich kolegów usilne prośby pozwolił mi załadować się na samochód – ku zazdrości brata, o zabranie którego oficer nie chciał nawet słyszeć. Zajechaliśmy przed nasz dom przy ul. Witoldowej róg Brygidzkiej. Krótkie pożegnanie z rodzicami, rodzeństwem i odjazd. W ostatniej chwili zabrałem z podwórka pełnosprawny niemiecki rkm.

Podczas przekraczania granicy nie było specjalnych trudności, ponieważ pogranicznik, dowiedziawszy się, że jadę jako ochotnik do Wojska Polskiego, uśmiechnął się tylko i powiedział: „wsio w pariadkie sojunziki, bieście zdorowo giermańca, pajechali”. I pojechaliśmy. Po drodze trudno mi było uwierzyć, że już wkrótce będę żołnierzem, dostanę do ręki broń i odpłacę hitlerowcom za ich zbrodnie.

Wylądowaliśmy w Dojlidach pod Białymstokiem. Zdałem mój zdobywczy rkm i zameldowałem się w sztabie u dowódcy batalionu kpt. Kirpszy. Po załatwieniu formalności zostałem żołnierzem Ludowego Wojska Polskiego. Moim dowódcą kompanii był por. Hollenberg, dowódcą plutonu sierżant „Gadzinka”. Szefem sztabu naszego zapasowego batalionu był por. Uszomirski.

Szkolenie nie trwało zbyt długo, bo po paru tygodniach przyjechali tzw. „kupcy” – oficerowie jednostek frontowych. Jako jeden z pierwszych poprosiłem o wysłanie mnie na front. Swój szlak bojowy rozpocząłem jako cekaemista na praskim brzegu Wisły w Warszawie, w szeregach 9 pułku piechoty 3 Dywizji im. Romualda Traugutta.

W czasie obrony nad Wisłą zajmowaliśmy pozycje w pobliżu zburzonego mostu Kierbedzia. Dwa cekaemy wchodzące w skład naszego plutonu dyżurowały na zmianę tylko w nocy. W dzień w suterenie pod gruzami zburzonej kamienicy, urządzonej przez nas jak na warunki frontowe dosyć komfortowo, czyściliśmy karabiny, ładowaliśmy naboje do taśm, odpoczywaliśmy.

Czuwając w nocy nad rzeką z rozpaczą patrzyliśmy na płonącą lewobrzezną Warszawę. Michał Woźniak, mój przyjaciel, nie mógł powstrzymać się od wygrażania pięścią i wyzwisk pod adresem hitlerowców. Szczególną wyobraźnią w tym zakresie wykazał się kpr. Motyl, który przez sporządzoną przez siebie tubę donośnym głosem „wygłaszał przemówienia” dziwną, polsko-niemiecko-rosyjską gwarą. Ściągał tym na nasze pozycje wścieklą palbę środków ogniowych nieprzyjaciela. Młodziutki dowódca plutonu chorąży Eugeniusz Zych, chcąc powstrzymać nawałnicę ogniową, musiał uspokajać zaciętrzewionego kaprała (całą rodzinę Motyla gdzieś pod dalekim Tarnopolem wymordowali siepacze hitlerowscy).

Z okresu obrony na linii Wisły pamiętam dwie wyprawy na lewy brzeg „po języka” – jedną w drugiej połowie grudnia 1944 roku, a drugą w noc sylwestrową z 1944 na 1945 rok. Oba wypadki zwiadowcze osłaniałem ogniem swego cekaemu. Jednego z ówczesnych zwiadowców, ppor. Śmigła, spotkałem przypadkiem wiele lat później w ostrowskim szpitalu (w 1972 roku), gdzie obaj leczylimy odnawiające się rany i kontuzje wojenne.

Parę dni przed ofensywą styczniową zluzował nas któryś z pułków 2 Dywizji Piechoty, a my wyruszyliśmy do Anina, gdzie mieliśmy odpoczywać. Niedługo mieliśmy spokój, bo już po dwóch dniach przybiegł wieczorem sierżant Świerczyński z rozkazem wymarszu. Otrzymaliśmy zadanie sforsowania Wisły. Tego samego wieczoru przyjechały do Anina z Thuszcza żona i matka cekaemisty Stefka Grzybowskiego. Pożegnanie syna i męża było wzruszające. Ja sam napisałem do rodziny kartę o treści bardzo krótkiej: „Idę w bój, żegnajcie, do zobaczenia w wolnej Polsce”. Karta ta niestety nie dotarła do adresatów.

Po uciążliwym marszu zatrzymaliśmy się w lesie nad Wisłą. Całą noc spędziliśmy na śniegu. Ognisk nie można było rozpalać. Już oficjalnie wiedzieliśmy, że będziemy forsować rzekę i w natarciu rozbijać wroga. Wisłę przeszliśmy po lodzie na wysokości Góry Kalwarii. Po krótkiej strzelaninie Niemcy uciekli. Niewyspani, głodni, zziębnięci maszerowaliśmy przez Piaseczno, Pyry i inne miejscowości, witani serdecznie przez tłumy ludzi. Po drodze wraz ze Stefką i Michałem zlikwidowaliśmy hitlerowski erkaem.

Do Warszawy wkroczyliśmy od strony Służewca. Dotarliśmy do Mokotowa, staczając tu zwycięską potyczkę z oddziałem hitlerowców, a następnie wróciliśmy na Służewiec. Nasza dywizja nie brała udziału w defiladzie w oswobodzonej, lecz jakże straszliwie zniszczonej stolicy. Rozpoczęliśmy szalony pościg za panicznie uciekającymi Niemcami. Forsownym marszem szliśmy przez Błonie i Sochaczew do Włocławka (co za serdeczne powitanie w tym mieście – kwiaty, słodycze, uściski, wiwaty!). Przez Ciechocinek, Solec Kujawski (w rozbitych magazynach odzieżowych uzupełnialiśmy sorty mundurowe) podeszliśmy pod Toruń, który mieliśmy zdobywać. Jednak zamiast na Toruń ruszyliśmy na Bydgoszcz, którą po krótkich walkach zajęliśmy. Znowu serdeczne powitanie zgotowane przez miejscową ludność. Maszerowaliśmy prawie bez odpoczynku 60-80 kilometrów na dobę. Często zasypialiśmy jak konie – w marszu, potykając się i przewracając. Od czasu do czasu staczaliśmy potyczki z Niemcami i tu nasz ckm odgrywał bardzo ważną rolę.

Granicę Polski z 1939 roku przeszliśmy w pobliżu miejscowości Sępólno. Rozpoczęły się ciężkie, krwawe walki – zdobywanie i przełamywanie Wału Pomorskiego, „klucza do Berlina”. W czasie tych

bojów, trwających nieprzerwanie ponad miesiąc, wraz z frontowymi kolegami przeżyłem wiele spotkań ze śmiercią. Miałem jednak szczęście, bo odniosłem tylko lekką ranę (draśnięcie odłamkiem lewego boku – pole walki opuściłem na pół godziny w celu założenia opatrunku). Straciłem jednak licznych przyjaciół – towarzyszy broni. Zginęli między innymi: Kwiatkowski, Julek Kruk, Mikołaj Dubowski. Ciężkie rany odnieśli: Stefek Grzybowski, Broda, bracia Remiszewscy obsługujący rusznicę przeciwpancerną. Szczególnie boleśnie przeżyłem śmierć dwóch serdecznych przyjaciół, z którymi dosłownie „piłem z jednej manierki i z jednej menażki jadłem”. W czasie ataku na żelbetonowe bunkry pod Nadarzycami (szczególnie zasłużył się wówczas nas ckm – udaremniliśmy dwa kontrataki hitlerowców) padł zabity młody chorąży Gienek Zych, w lesie nad Gwdą został zastrzelony przez snajpera Michał Woźniak. Na Wale Pomorskim stracił również życie dowódca naszego pułku płk Berezowski. Bywały wtedy okresy, że zostawałem sam z całą obsługą cekaemu („maksyma”). Musiałem więc być jednocześnie celowniczym, amunicyjnym, taśmowym i siłą pociągową – z zaciśniętymi zębami ciągnąłem umocowaną na parcianym pasku „maszynkę” przez błota, śniegi, wertepy leśne. Nie mogłem jej zostawić, wiedziałem bowiem co znaczy ckm dla żołnierzy, szczególnie wtedy, gdy brak artylerii...

I jeszcze parę drobnych fragmentów osobistych przeżyć na Wale Pomorskim. Oto dookoła las. Kilka metrów przed nami okopy, w których czuwa koleżeńska zmiana – obsługa drugiego cekaemu ze swoją maszynką. Za nami, w odległości kilkudziesięciu metrów ziemianka dowódców. Pucując „maksymka” rozmawiamy, słuchamy kaprala Lecha, który czyta nam gazetkę frontową „Zwycięzimy”. W pewnej chwili z leśnych gąszczy wyłania się postać żołnierza. Na pewno łącznik od dowódcy kompanii – myślimy. Żołnierz podchodzi do nas. „Cześć!”. Cześć! – odpowiadamy. Nie siada. Zaczyna mówić. Oświadcza, że jest z kompanii cekaemów i dzisiaj wyjeżdża na tyły do szkoły podoficerskiej. Przyglądam mu się uważniej. Chłopak młody, może 17-18 letni, zadziwiająco czysty, umundurowanie na nim „jak spod igły”. Na plecach ładny, nowy plecak niemiecki, na ramieniu karabin i co najważniejsze – wydaje mi się jakiś obcy. A przecież z kompanii cekaemów znam prawie wszystkich. Opowiada, że na naszym odcinku sytuacja jest beznadziejna, że wczoraj niemiecki zwiad wybił do nogi obsługę 45-ki i że wszyscy tu zginiemy. Spoglądam na Lecha, który opuścił czytaną gazetę i mrugnął nieznacznie do mnie. Karabin oparty o drzewo znajduje się około 3 metrów ode mnie. Wykonuję nagły skok, chwytam broń i w tej samej chwili „nasz żołnierz” daje nura w gąszcz leśny, w stronę ziemianki dowódców. Repetuję karabin i strzelam. Zrywamy się na nogi, biegniemy, przeskakujemy las – bezskutecznie.

Po kolejnych kontratakach niemieckich pozostałem sam przy cekaemie. Zakładałem nową taśmę. Wkoło wybuchy pocisków. Nagle uczułem silne uderzenie w okolicy lewej piersi. Jednocześnie odniosłem wrażenie, że mam urwaną rękę razem z ramieniem. Ze strachem spojrzałem na lewo. Ręka była na swoim miejscu, tylko jakoś dziwnie bezwładnie zwisała. Poczulem ciepłą strugę płynącą po piersi. Krew! A zatem jestem ranny. Sanitariusz! – krzyknąłem. Na szczęście był w pobliżu. Dobrze pamiętam tego starszego człowieka o pomarszczonej twarzy, ozdobionej sumiastymi wąsami. Nożycami rozciął mi mundur i koszulę i wtedy ujrzałem zakrwawioną całą pierś. W okolicy ramienia i pachy czerwona plama, z której wypływały czerwone strużki. Sanitariusz zaczął bandażować mi pierś. Kula przeszła na wylot. Z tyłu nad obojczykiem też była rana. Miejsce trudne do założenia opatrunku. Sanitariusz jednak jakoś się z tym uporał. Całą pierś i plecy miałem obandażowane, a rękę na temblaku sporządzonym z pasa. Zacząłem odczuwać okropny ból. Siedziałem w jamie przykryty płaszczem. Pociski padały gęsto na przedpole, wznosząc fontanny ziemi, kamieni i szczątków ludzkich. Wstałem, wylazłem z jamy i mimo wybuchów ruszyłem w kierunku szosy. Czołgać się nie mogłem, szedłem więc wyprostowany, zdając się na los. Przeszedłem około 20 metrów, gdy nagle poczułem uderzenie w okolicy kolana. Ranny po raz drugi – przemknęło mi przez myśl. Upadłem w błoto obok nasypu kolejowego. Przytomności jednak nie straciłem. Sanitariusz! – zawołałem. Przyczółgał się ten sam. Rozciął mi nogawkę spodni i w okolicy lewego kolana ujrzałem czerwoną, buchającą plamę wielkości pięści. Dobył bandaży i leżąc owinał mi nogę.

Leżałem w błocie myśląc o śmierci. Zacząłem się modlić. Strzały i wybuchy słyszałem jakby oddalone, stłumione. Straciłem przytomność. Obudził mnie straszliwy ból. Zacząłem jęczeć, wzywać pomocy. I wówczas usłyszałem okrzyk: „Patrzcie, tu jeszcze jeden żyje!”. Żyję, żyję – zawołałem. Potem w polowym szpitalu w Wałczu dowiedziałem się, że na pobojowisku leżałem dwie doby. Rannych zbierano z pola walki dwukrotnie, a mnie uważano za zabitego. Do mojego rodzinnego domu w Grodnie dotarła wiadomość, że poległem pod Kołobrzegiem. Moja mama z płaczem zaniosiła datek do kościoła z prośbą o odprawienie mszy świętej za poległego syna. Ksiądz Piotrowicz powiedział do niej proroczo: „Nie płacz matko. Twój syn żyje!”.

Żyję, doczekałem się dziewięciorga wnucząt i jednego prawnuka. A w trzecim tomie publikacji „Szare Szeregi. Harcerze 1939-1945” jest notka o mojej śmierci...